

Tadeusz Gicgier

Antologia poetów Łodzi i ziemi łódzkiej

pod redakcją Jerzego Poradeckiego



foto. Gerard Puciato

TADEUSZ GIGIER

(1972–2005)

Poeta, satyryk, prozaik, reportażysta

Pseud. T.G.; T-G-r; T.G-R; Tad. G.; Tadeusz G.

Urodził się 19 września w Łodzi, gdzie ukończył szkoły. Podczas okupacji niemieckiej pracował w fabryce włókienniczej F. Ber i S-ka (od 1942). Po wojnie wrócił do nauki i w 1947 otrzymał świadectwo dojrzałości. Debiutował wierszem *Świt* opublikowanym w miesięczniku „Świetlica” (nr 10, 1945). Jednak za właściwy debiut zwykło się uważać wiersze wydrukowane w antologii młodych poetów łódzkich *Różnie idąc*. Od 1947 roku studiował polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim, jednak przerwał studia po dwóch latach z powodu złego stanu zdrowia. W czasie studiów zajmował się działalnością w Związku Młodzieży Demokratycznej. W 1950 brał udział w organizowaniu Koła Młodych Pisarzy w Łodzi, został jego przewodniczącym, a potem opiekunem (po zostaniu członkiem ZLP). Pracował jako redaktor w Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia, tworzył wiele reportaży, słuchowisk, audycji satyrycznych i poetyckich. Publikował w wielu czasopismach, między innymi w „Dzienniku Łódzkim” (1964–2005), „Głosie Robotniczym” (1950–1966), „Po prostu” (1950–1956), „Szpilki” (od 1951), „Życiu Literackim” (od 1954), „Odgłosach” (od 1958) oraz w „Tygodniku Kulturalnym” (od 1964). Od 1962 był członkiem zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP.

Otrzymywał liczne wyróżnienia za swoją twórczość, między innymi nagrodę MRN w Poznaniu (1962), nagrodę Zarządu Głównego Związku Zawodowego Metalowców (1963), nagrodę WRN w Łodzi (1964) oraz Oddziału Łódzkiego ZLP (1964).

W latach 1968–1974 mieszkał w Białymstoku — kierował tam literacką redakcją rozgłośni Polskiego Radia, patronował oddziałowi KKMP, był członkiem Zarządu Białostockiego Towarzystwa Kultury. W tych latach publikował w białostockich „Kontrastach”, „Życiu Literackim” i „Poezji”. W 1974 został sekretarzem zarządu łódzkiego ZLP. Do 1982 roku pracował jako redaktor, a potem także komentator w Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia. Nadal publikował swoje ut-

wory w „Odgłosach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Życiu Literackim” a także w „Literaturze”. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. nagrodę I stopnia Przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za całokształt pracy literackiej i pracy dziennikarskiej w Polskim Radiu (1981), nagrodę województwa sieradzkiego (1985), nagrodę literacką miasta Łodzi (1990). Został również odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (1964), Krzyżem Kawalerskim (1981) i Krzyżem Oficerskim (1989).

Był dwukrotnie żonaty, doczekał się dwóch synów i trojga wnuków. Jego pasją było wędkarstwo i wędrowki po lesie, toteż wiele czasu spędzał w leśniczówce Garroworz na Suwalszczyźnie, potem także nad jeziorem Parzyn w Borach Tucholskich. Tam powstało wiele jego wierszy.

Zmarł 4 maja 2005 roku w Łodzi po wielomiesięcznych zmaganiach z ciężką chorobą.

Wydał tomiki poezji: *Garść ziemi* (1957), *Wymij mnie z czasu* (1961), *Moje boje* (1963), *Zimowy owoc* (1968), *Ziemia białostocka i inne wiersze* (1971), *Pamięć genetyczna* (1977), *Przypowieść o podróży. Wiersze wybrane* (1983), *Mój drugi dom* (1989), *Nocny na Łódź Kaliską* (1991), *Absurdałki czyli Limeryki krajoznawcze, człoekoznawcze i zwierzoznawcze* (1991), *Herbarium* (1992), *Wcieleńia. Wiersze* (1993).

Opublikował także zbiory reportaży, m.in.: *Zaczęło się od legendy* (1968), *O człowieku, któremu wystarczył ogarek* (1979), a także zbiory fraszek i aforyzmów: *Szkiełko i oko* (1971), *Satyry, fraszki, aforyzmy* (1980), *Pod okiem amora. Fraszki i aforyzmy miłosne* (1980) i inne.

- S. Lichański: *W poszukiwaniu nowego lądu*. „Odgłosy” 1967, nr 20.
- K. Nowicki: *W pogodnym nastroju*. „Życie Literackie” 1967, nr 51.
- L. Sokół: *Owoc dojrzałej rozważi*. „Poezja” 1969, nr 4.
- J. Koprowski: *Wiersze i proza*. „Kontrasty” 1969, nr 3.
- Z. Skibiński: *O kunszcie fraszkopisarskim*. „Odgłosy” 1971, nr 27.
- J. H. Wiśniewski: *Słownik pisarzy polskich*. „Odgłosy” 1975, nr 1.
- W. Puszczykiewicz: *Pióro na sierpniowym wietrze*. „Odgłosy” 1977, nr 46.
- P. Puszczykiewicz: *Poetycka odyseja Tadeusza Gicgiera*. „Odgłosy” 1985, nr 16.
- WPPiBL. T. 3, 1994.

biogram KTom 2007
wybór JPor 2007

Spis wierszy

Erotyk leśny

Powrót

Garść ziemi

*** [Zmarli przychodzą nocą we snach
nieprawdziwych...]

*** [Wróć mi zwyczajny urok życia...]

Powrót do Krynicy

Nocny na Łódź Kaliską

Zagrodnicy

*** [Pamiętam, dzień grudniowy
właśnie się pochylał...]

Sen

*** [Jestem alkoholikiem
umiarkowanym...]

Na cmentarzu

Biesy

Zjawy

Ręce tańczącej Bułgarki

*** [Świat za oknami szpitala realny...]

Kętrzyn — Węgorzewo

*** [Szumi deszcz w drzewach, drzewa
szumią w deszczu ...]

*** [Dojrzały dzisiaj zbłądzę, gdzie
trafiałem dzieckiem...]

*** [Dla tego głosu ptaka, co powietrze
ścinał...]

Dwa perony

Bicz

Introdukcja

*** [Ciebie, śródleśna łąko, pszczele
uroczysko...]

*** [Piszemy stopami na piasku...]

*** [Ześlij mi drobną gałąź snu...]

Abstrakty

Jesień'86

Garby

*** [Tak przychodzi stateczność...]

*** Uwikłany, splełtany, nadziei
wyzbyty...]

*** [Ani podział komórek...]

Dopiero wtedy

*** [Godziłem ogień z wodą...]

*** [Znikają po angielsku z niedużego
party...]

*** [Żyli, byli/ jak własna ręka i noga...]

Epigramat o połączeniu się w ziemi

Gwiazda

Erotyk leśny

Cienie jałowców, w tę noc srebrnobiałych,
już nie spłoszyły nas, bo nam sprzyjały.

I nie wiedziałem, czy to pachną wrzosy,
czy przemieszane z nimi twoje włosy.

Przymknęłaś oczy: zgasły dwa płomień,
lecz przedtem leśną zapaliły ziemię.

Twój oddech piął się, gwałtowny i mocny,
aż spadł, by szeptać lasu tchnieniem nocnym.

Wtedy księżyc znów błysnął nam pierścieniem
i z włosów twych się odezwały świerszcze.



Powrót

W oknach wagonu noc śpi ciężka.
Pociąg to dyszy tak czy lato
żegnane, do jeziora ścieżka,
a nad nią woń skoszonych kwiatów?

Niesyty wracam brzóz pod niebem
i pól, widzianych — nie widzianych,
dróg, których nie zdołałem przebiec,
i wschodów słońca, tych przespanych...

Wsi głodny wracam, lecz już we mnie
rosnącym echem mówi miasto:

oto ognisko, co przygasło,
iskrami wstaje z nocy ciemnej.

Mysł, szary wyprzedzając ranek,
rysuje znany kształt obrazu:
domy w ulicę powciskane,
horyzont wyciosany z głazu

i bruk kamienny — czuły świadek
dzieciństwa, pierwszej serca pieśni,
kolebka rodu: tutaj dziadek
w dłonie narzędzia ujął cieśli;

tu ojciec, noc skracając nieraz
książką, doczekał się „awansu”
i w gabinetach, przez lat szereg,
podliczał zyski mecenasów...

Kamienny bruk ulicy łódzkiej...
Gdy stanę na nim — ptak znad ścieżek —
stopa się wzdrygnie, ale wkrótce
pewności dawnej znów nabierze,

bo każda płyta tu znajoma,
płot każdy, który okaleczył
czas — a szerniały tynk na domach
przeszłość przywodzi, choć jej przeczy.

1954

Garść ziemi

Trzymam w dłoni rdzawą grudkę ziemi:
oto las, w którym żyli przodkowie,
ludzie brunatni od ognia i nocy,

pochyleni trwoźnie i przebiegle,
wypatrujący ślady zwierząt i swych braci;
grudka wilgotna jest jeszcze od łez,
które wylali w bezsilnej wściekłości,
gdy kropla deszczu gasiła iskrę w dwóch bierwionach;
oto szczątki moich pradziadów,
o których wiem tylko, że byli dobrzy i pobożni;
oto prochy mej matki, kolebka mojego ciała;
oto popiół, z którym uleci mój syn.
Wierszu mój, kiedy piasek przesypie się z dłoni,
nie złorzecz, nie przeklinaj,
bądź jak palec na ustach,
które dawno oduczyły się krzyku.

Zmarli przychodzą nocą we snach nieprawdziwych;
uczynią kilka gestów, powiedzą dwa słowa,
nagle przypomną sobie: zdradziliśmy żywych,
i odchodzą pośpiesznie, przynaglani wstydem.

Żywi, śpiąc, potrącają o obszary śmierci;
przenika ich wilgocią rozkopana ziemia,
wstają, czując jej ciężar dławiący na piersi,
ocaleni dla świata, w którym już ich nie ma.

Wróc mi zwyczajny urok życia,
powszednie, proste przeżywanie.
Jeśliś w ukryciu — wyjdź z ukrycia
i zdmuchnij, zdmuchnij cień na ścianie.

Daj mi truciznę, zdolną zabić
czerwia, co każdą chwilę toczy.
Przestań mnie z barw i światel grabić
i nie syp próchnem w moje oczy.

Wypal to tło, co od wiernego
psa za mną włóczy się posłuszniej.
A jeśli to mój czas — to z niego
wyjmij mnie jak ostrygę z muszli.

—

Powrót do Krynicy

Mieczysławowi Malowańcowi

Zbiegłe dwa lat dziesiątki, dwa mostu ramiona,
tak myślałem, połączą górskie zimy w jedną,
bo tam woda w strumieniach jest zawsze zielona,
a nie chciałem pamiętać, że jej nurty biegną.

Ta biel siedem kolorów miała, tamte śniegi
mróz barwił aż po fiolet, podpałało słońce,
a teraz znowu styczeń, ostre jego ściegi
zszyją mojej młodości — dojrzałości końce.

I nie chciałem nic wiedzieć, że gęstniał po drodze
dym łódzki, i zapadła we mnie ulic szarość,
inne były wąwozy, został w nich przechodzień,
jednostajność, codzienność, jak na mózgu narosł.

Wreszcie bunt, który przeciął ów guz niby lancet,
odlot zimą na północ, życia losy zmienne,
wszystkie wykorzystane i stracone szanse,
i znów śniegi głębokie, ale tutaj ciemne.

Powracam. Nie ma śniegów. Czernieje Krynica.
Nic nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Świerk brodą zamiata
górską drogę, nią idę do dna tamtych świtań,
mijając zaliczane — odliczane lata.

1972

Nocny na Łódź Kaliską

Pociąg przebija ciemność,
rytmiczny upór
drażący skałę nocy,
za którą
poranek mej młodości:
białe ławice piasku,
karłowate sosny,
iglasty szum zatrzymanego czasu.
Świeci Żubardź
jak ognik na bagnach,
ugory Kozin
pałą się żółtym mleczem,
błyszczą mrowiskiem lamp
przydworcowy Karolew.
Miasto,
moje miasto odzyskiwane po latach,
może przez ból przedzierania się,
powrotu —
przybliżyć się o krok do ciebie,
o jeden krok do prawdy o tobie.

Zagrodnicy

*Wyprawiając się do podmiejskich lasów,
łodzianie mieli zwyczaj ogradzać nieduży
teren sznurkiem i na tym terenie bawić się
w swoim gronie.*

To nie są opowieści
lasku wiedeńskiego,
panowie w melonikach,
panie w krynolinie,
perkal, cajgowe spodnie,
dama siedzi w halce,
zamiast lampionów, girland
sznur konopny wisi.

To jest moje obejście,
sznur to moja miedza,
nie mam ziemi, mam wyrko,
na dachu gołębnik,
a tutaj jestem panem
na spłachetku lasu,
dziedzicem, fabrykantem,
bogaczem niedzielnym.

Wachlarz w niwieściej dłoni
to wachlarz z paproci,
nie smyczki, a harmonia
do tańca przygrywa,
butelka z lemoniadą
krąży tak jak bąk,
śmiechu nikt nie tuszuje,
na sękach zawisa.

Teraz tańczą pod ściółką,
z drzewami pod glinę
zeszli, razem twardnieją,
czernieją na węgiel,

nie stracili wigoru
i fason ten sam,
przyłóż ucho do ziemi,
harmonię usłyszysz.

Pamiętam, dzień grudniowy właśnie się pochyłał
w stronę zmierzchu, gdy przyszła na mnie znów ta chwila
ciężka jak niebo zimy, a taka znużona,
że upadła bezwładnie prosto w me ramiona
i tak legliśmy razem.

Wtedy mi się zdało,
że ciężar stupudowy przygniótł moje ciało,
a w każdej jego części były, w każdym pudzie,
krzywdy, którym wyrządził ludziom i mnie ludzie.
Tak miast się zniwelować, trwały połączone,
że w końcu nie wiedziałem, czy gniotą mnie one,
czy to grudniowe niebo, zimne, obojętne,
niskie jak czoło głupca, obce, beznamienne.
Chciałem krzyknąć: ratunku! ale zrozumiałem,
że nikt mnie nie uwolni od tego, co ciałem
jest mym własnym, podwójną krzywdą, oskarżeniem,
przestrogą ponieważ, a może sumieniem,
nie, nawet nie sumieniem, wyobraźnią własną.

A to tylko dzień odszedł, drzwiami mnie przytrzasnął.

tekst wg: Mój drugi dom

Sen

Śnie na kawałki rwany,
rano pilnie zlepiany,
jak garnek drutowany.

Może nikt się nie dowie,
jak śpię z kołdrą na głowie
w tej wacianej alkwowie?

Może mnie nie dopadnie,
gdzie jestem, nie odgadnie,
co noszę w sobie na dnie?

Wstanę wesoły prawie,
że już jestem na jawie,
sen za sobą zostawię.

—————

Jestem alkoholikiem umiarkowanym,
drobnym alkoholikiem,
a jednak,
a jednak ubywa wciąż tego płynu,
który zwą nektarem życia
albo też
— to synonim —
eliksirem miłości.
Sączę go powoli, ale systematycznie,
o krótkie chwile oszołomienia,
ekstazy,
wzlotu,
lewitacji,
o długie stany depresji,
sięgania dna

i jeszcze niżej,
gdzie błysk w ciemnościach
ukazuje krawędź nicości.
Modłę się do nieistniejącego Boga:
dozwól, o Panie,
aby ostatni mój łyk
był łykiem z leśnego źródła
czystego jak oczy dziecka,
abym napił się tak,
jak ptak pije,
i odszedł jak ptak:
tak rzadko widzi się ścierwo ptaka.

z cyklu **Dwie szale**

Na cmentarzu

Aleją cmentarną szła młoda dziewczyna, uśmiechając się do siebie. Przystanąłem zdumiony, patrzyłem, jak się oddala. Podpatrywałem życie, które kpiło sobie ze śmierci, dałem nawet kilka kroków za odchodzącą. Szła gibkim, młodym, a przecież już kobiecym krokiem, była ucieleśnieniem wszystkiego, co jest uśmiechem, czystą radością.

Kiedy będę tu leżał przy którejś alei, i tą aleją przechodzić będzie taka dziewczyna — wstanę i pójdę za nią.

z cyklu **Przypowieść o podróży**

Biesy

Moje furie, moje obłądy,
uciec od nich, ale jak, którędy?

Jak je — własne — ubezwłasnowolnić,
by mi szkodzić nie były zdolne?

Podkradają się cichcem jak lisy
i szaleją we mnie — moje biesy.

I targają mną, i mymi braćmi,
co złączyli się ze mną niebacznie.

Tą najbliższą, która wtedy milknie,
bo ją ranię, jestem dla niej wilkiem.

I nie wcześniej ustaną, opadną,
aż mnie stłamszą, aż mnie obezwładnią,

aż mnie rzucą jak worek na ziemię.
Wtedy wrócą, skąd przyszły — pod ziemię.

[tekst wg: Wcielenia • 1993]

Zjawy

Panu Stefanowi Lichańskiemu

Nadchodzi wiosna, a ja o jesieni,
o wstępowaniu w ogród spustoszały,

po którym chodzą ludzie porażeni,
wpatrzeni w siebie, w swój byt oniemiały.

Wiosna nadchodzi, a ja, ptak zimowy,
milczę i skrzydła pęknięcie ukrywam,
by pastwą nie paść kruka albo sowy
biję skrzydłami, do lotu się zrywam.

O, dni przygasłe, noce, w które trwozę
czuję, bo nie wiem, w jaką wejść bramę,
i w sen zapadam się jak pod podłogę.

O, wody ciemne i rozkołysane,
w które zanurzam się za jawy progiem
i z których ciężko wypływam nad ranem.

—

Ręce tańczącej Bułgarki

Włosy jej — pióra kruka,
krępa jak mewa —
drobi nogami
w takt wibrującej muzyki,
tylko ręce wzlatują lekko —
skrzydła ptaka egzotycznego,
giętkie jak wąż, śmigłe jak jaszczurka
obleczona w oliwkową skórę.
Ręce, które piszą cyrylicą
poemat napowietrzny
o dziewczynie wyzwolonej,
lecz ciągle wyzwalającej się jeszcze
z niewoli męskiej
— chłopcy trzaskają biczami —
z niewoli tureckiej
— nad drzewami godło półksiężyc —
wciąż uległej

omdlewającym ruchem ramion,
które za chwilę
poderwą się znów do lotu.

Panu doktorowi Romualdowi Pietraszunowi

Świat za oknami szpitala realny
jest teatralną tylko dekoracją:
stare topole przeobraził w palmy
kot, który stąpa z napuszoną gracją.

Idą przechodnie, grając wyuczony
spektakl, poczęty z drętwej wyobraźni:
krok każdy sztuczny, głębokie ukłony,
rozwarcie ramion w pozorze przyjaźni.

To, co prawdziwe, jest tu: bólu grymas
kurczący twarze, ściskający szczęki,
tampon nasiąkły krwią, na płytce wymaz
i na pościeli rys wychudłej ręki.

15 XI 1980

• Tadeusz Gicgier •

z tomu **Mój drugi dom** • 1989

z cyklu **Wiersze**

Kętrzyn — Węgorzewo

Jakby ktoś ziemię rąbał w głąb i las odsłonił
prehistoryczny, jakby dokopał się stóp zielonego
lodowca, co tędy idąc wyżłobił dolinę,
swoj grób, z którego narodziło się jezioro.
Ostry lokomotywy gwizd przeciął powietrze
jak diament szkło, parowy młot jej oddechu
roztraskał je na drzazgi, srebrne kolce rosy.
Zostały za mną bunkry betonowe,
popękana twarz wojny i żelazny złom,
który zrzuciłem z ramion. Jeszcze nie dowierzam,
że mi tak lekko, świeżo, nieprawdopodobnie
nieprawdziwie. I jeśli jest to tylko błysk
krótki, przelotny, promień na skrzydłach jaskółki,
jeśli to nawet chwila, której nie utrzymam,
bądź pozdrowiony, poranku i bądź pochwalona, ziemio.

[tekst wg: Wcielenia • 1993]

Szumi deszcz w drzewach, drzewa szumią w deszczu,
świat deszczowego pełen jest szelestu,
u szyb spłaszczone twarze zblakłych dzieci
i ja przy szybie, co deszczem szeleści.

Pluszcze od rana w liściach senny potok,
uśmierza serce chłodnych kropel potop,

nisko zwisnęły chmury i gałęzie —
otwieram okno: niech deszcz do mnie wejdzie.

Dojrzały dzisiaj zbłądzę, gdzie trafiłem dzieckiem
i dotrzeć tam już nawet we śnie nazbyt trudno,
bo sen jest każdej nocy lasem wietrznym,
z którego wyjścia szukam długo i na próżno.

A potem nagle pociąg przejeżdża nad ranem
i w trawie, co od huku dygoce i rosy,
świecą martwym połyskiem oczy sarny szklane,
a ja płaszcz swój dopinam i odchodzę bosy.

Dla tego głosu ptaka, co powietrze ścinał
zachwytem i przeszywał je bólem jak trzcina;

i dla tego poranka, co budził się w rosach
i biegł żwawo po trawie jak dziewczyna bosa;

dla dziewczyny, co piersi swoje małe, białe
krzyżowała rękami, gdy po nie sięgałem;

dla przedwiośnia, co w twardych zamknęło się pąkach,
aż przyszedł maj i wszystkie ich motki rozplątał;

dla zimy, która sosnom jak maszt prostym żagle
przy pinała, że z wiatrem w rejs ruszały nagle;

dla kapryśnych jesieni, parujących mgłami,
co potem z mgieł wstawały wszystkimi barwami

i wiodły oczy w przestrzeń czystą i otwartą —
żyć było warto.

z cyklu **Miniatury**

Dwa perony

Między przyjazdem a odjazdem toczyły się dzieje, które mogłyby wypełnić połowę ludzkiego życia.

Najpierw w kaflowym piecu buzował ogień, i było jak w domu rodziców.

Potem paliła się nocna lampka, za oknem kołysały się na wietrze zimowe sosny, i było jak w czasie studenckich wakacji w górach.

A jeszcze potem zapadła ciemność i wzbierający szum sosen złączył się z szumem krwi.

Więc co jest tutaj prawdą, skoro przyjazd i odjazd był jak przejście z jednego peronu na drugi?

Bicz

Wielkie kopuły drzew, zioła i trawy sięgające kolan, jeziora jak małe morza. Wychodzę z chaosu miasta, z płataniny mrocznych miejskich żywiołów, z przygniatających kryzysów wiadomych tylko mnie — nim wejść w nowy kryzys, także samoswój. Dotkliwie to wychodzenie, jak po ciężkiej chorobie: boli nie choroba, lecz przychodzenie do zdrowia. Bolesne jest nawet odkrywane na nowo pokrewieństwo z naturą: prawo światłozwrotności, wynoszenie z mroków i dymów zac zadzonej głowy. Zabieg bardzo absorbujący i rozciągnięty w czasie: zejdą mi na nim całe wakacje. I dopiero świadomość odjazdu, pożegnania, będzie biczem przywracającym mi rów-

nowagę. Biczem powietrza i wody, który rozszerzy zawężone dotąd źrenice: dojrzą wtedy wreszcie w trawie iskrę porannej rosy i drobny gwiazdozbiór rozchodnika, na drzewie hubę jak gniazdo jaskółki i jemiolę jak gniazdo bociana, w jeziorze różdżkę słońca sięgającą dna i czyniącą z małego morza krystaliczne źródło.

z tomu **Herbarium** • 1992

Introdukcja

Wejdz w nasze państwo osobne, a przecież
z państwem owadów, płazów, zwierząt, ludzi
skoligacone, stanowiące jedność;
a wchodząc, uchyl swego kapelusza,
jeśli pozyskać pragniesz nasze względy;
bądź przyjacielem naszym, my przyjaźnią
ci odplacimy — takie nasze prawo.
Teraz już będziesz mógł czerpać dowoli
ze źródła naszych soków, które są sokami
życia i zdrowia, a także płodności.
Zioła wszelaką ci będą pomocą
w dolegliwościach, zniwelują ból,
złagodzą tve cierpienia. Ale to nie wszystko:
są wśród nas herba, które myśli weselą,
oddalają frustracje, czasem przypisane
naszym i pozwalają znieść trudy podróży;
inne, co pamięć potrafią przywrócić —
słuch pierworodny, wzrok bystry i jasny,
chronią od trucizn, jadów, od zawiści,
gniewu głupoty — skuteczność wypróbuj;
są jeszcze inne co przywodzą sen
nader płochliwy, przedłużają męskość
i powstrzymują włosów wypadanie;

są również takie, co jedną łaskę
ludzi wpływowych i miłość kobiety,
dają wymowność i twarz gładką czynią.

Lecz nie daj się zwieść barwą czy zapachem
(sam zapach nieraz niebezpieczny bywa),
bo są też herba, które powodują
choroby i nieszczęścia, śmierć pozorną
i śmierć prawdziwą, zabijają płód
w łonie ciężarnej i ciężarną razem;
herba, co sprowadzają przywidzenia,
ponure zjawy, posępne majaki,
sny prześladowcze oraz sny plugawe;
rodzą pająki, skorpiony i węże
w wylęgarni twej głowy, że wśród nocy z krzykiem
zrywasz się, siadasz drętwy na posłaniu.

W ziołach jest rozum z obłądem zmieszany.

—

Ciebie, śródleśna łąko, pszczele uroczysko,
ciebie, podgórska halo, nadmorska polano —
daję w pacht innym poetom, niech was opiewają,
znajdą celniejszą dla was, świeższą metaforę.
Dla siebie pozostawiam ugór, podmiejskie poletko
Pana Boga dzieciństwa mego i mych synów.
Leżę na wznak nieruchomo ja czy leżą oni,
to bez znaczenia, choć znaczy, że trwam
w ich rozrzucaniu ramion, w moich pięciu zmysłach.
Zioła tych miejsc pochwalam i wziołowstąpienie
słońca, wiatru i wody, zielonkawy sok,
koncentrat soków ziemi, rozgryzione w zębach
źdźbło trawy, piórko piołunu, centurii,
gorycz miodną, od której tężeją języki,

mój język, ich języki i języki ognia
w ustach, na skwarnym niebie, na suchym ugorze.

z tomu **Wcielenia** • 1993

Pamięci Ryszarda Doroby

Piszemy stopami na piasku,
kijem na wodzie.
Piszemy ramionami
po przezroczystej tafli powietrza,
głową po chmurach.
Piszemy śladami
na brudnej karcie śniegu
i najmoźniej, najtrudniej —
na białej kartce papieru.
Wiem wreszcie, jak pisać —
powiedziałeś pewnego styczniowego ranka
i wtedy
wypisałeś się z księgi żywych.

22 I 1985

Ześlij mi drobną gałąź snu,
abym się na niej mógł kołysać,

nim od pnia nocy się oderwie
i spadnie ze mną na głaz świtu.

Abstrakty

Mamy tę świadomość, mamy,
że istnieją,
że objawiają się czasem
jak piorun z jasnego nieba:
wolność,
sprawiedliwość,
przyjaźń,
miłość,
pojęcia abstrakcyjne,
a więc oderwane od rzeczywistości.

Zdarza się, że przybierają kształt konkretny:
nosiela idei,
prawego człowieka,
kochającej kobiety,
oddanego nam przyjaciela.

Wtedy naśmiewamy się z pierwszego,
szydzimy z drugiego,
depczemy tę, która stanęła u naszego boku,
a przyjaźń rozmieniamy na drobne korzyści,
wreszcie zdradzamy jej obiekt.

Poczem dochodzimy do wniosku,
że świadomość nas myli,
że to są istotnie abstrakty
nie dające się urzeczywistnić.

Jesień'86

Jesień zwyczajna, biurko, praca przy nim,
spóźniony obiad, odpoczynek krótki,
przy oknie stoję, spoglądam przez szybę —
tak jakby wszystko szło normalnym trybem.

Żona się krząta, syn ze szkoły wraca,
odrabia lekcje, wychodzimy z domu,
klony poźółkły, przez park z synem idę —
tak jakby wszystko szło normalnym trybem.

Wieczór zapada wczesny, bo to wrzesień,
oglądam dziennik, przeglądam gazetę,
o swoim życiu rozmyślam ze wstydem —
tak jakby wszystko szło normalnym trybem.

Już wypaliłem się, a skwierczy we mnie,
już pogodziłem się, a nie ma zgody,
wciąż tkwię na ostrzu tych dwuzębnych wideł —
tak jakby wszystko szło normalnym trybem.

—

Garby

Nasza egzystencja
to grzbiet garbaty,
a garb — kupa śmieci.
Przekopujemy się przez nią,
drążymy tunele,
ona zasklepia się na nowo,
chce nas zasypać,
wchłonąć w siebie,
łopaty rąk pracują bez wytchnienia,
coś prześwituje,
a to drugi garb.

Tak przychodzi stateczność:
już całkiem stateczny.
Tak ubywa obecność:
już pół, już ćwierć obecny.

Oddalam się od siebie,
choć nie byłem blisko.
Iskierka, nie zarzewie,
a było ognisko.

Z rąk mi się wymykacie
po kolei wszyscy,
żono, siostró i bracie,
synowie parzyści.

Wierne są tylko drzewa
i w jeziorze woda.
Wierna została ziemia:
ona mnie nie odda.

Uwikłany, splątany, nadziei wyzbyty,
z nocami bezsennymi jak z siostrami żyty,
zasłuchany w swe skronie i we wroni łopot,
zdążający wytrwale nie wiadomo dokąd
pragnący się zatracić, zgubić lub gdzieś przepaść,
czujny, by się nie potknąć, uważny, by nie paść.

6 XI 1986

Ani podział komórek,
ani rozszczepienie.
Zostawić, ach, zostawić gdzieś siebie,
to podłe nasienie.

Zgubić jak ten pakunek
na drodze przypadkiem.
Nie oglądać się, nie oglądać się, broń Boże,
nie patrzeć ukradkiem.

Może by się udało
to ciało porzucić...
Wszystko, co mam, dałbym za to,
i jeszcze dorzucił!

Odmówiłbym litanie
i pielgrzymkę odbył,
gdybym tylko, ach, gdybym tylko,
mógł siebie się pozbyć.

30 III 1987

Dopiero wtedy

*Świat jest komedią dla tych, co myślą,
a tragedią dla tych co czują.*

Horace Walpole

Ci, którzy nas kochali
a od nas odeszli,
po śmierci dalej nie mogą żyć bez nas,
w związku wieczystym
modlą się o rychłe spotkanie z nami,

oczekują niecierpliwie
naszego zgonu,
i dopiero wtedy
gdy on nastąpi —
zapalą na naszym grobie świeczkę
i będą mogli wreszcie umrzeć naprawdę.

15 V 1988

Godziłem ogień z wodą,
niepogodę z pogodą,
zgodę z wieczną niezgodą.

Ulotną chwilę z trwaniem,
niecierpliwność z czekaniem,
niezmiennność z przemijaniem.

Godziłem zdrowie z chorobą,
mnie skłóconego z tobą
i siebie z samym sobą.

Teraz wiem z doświadczenia,
że jedno się nie zmienia:
co nie do pogodzenia.

Znikają po angielsku z niedużego party
jakby zażenowani, że na nie przybyli,

bo manieri nie takie, kostium z ciała zdarty,
więc pora go wymienić na materię lotną.

A zabawa trwa dalej: magik w czarnym fraku
zamienia uczestników w króliki, papugi,
łyka ogień piekielny i nóż bardzo długi,
który też nie zostawia ni śladu, ni znaku.

Żyli, byli
jak własna ręka i noga,
jak palce,
oczy i uszy.

Przeszli, odeszli
i teraz chodzą za mną wszędzie,
mówią mi: nie ma nas, nie ma,
straciłeś rękę i nogę,
palce,
oczy i uszy.

Spała, 12 XII 1989

Epigramat o połączeniu się w ziemi

Połączymy się w ziemi, matko:
kość z kością,
wiór z wiórem,
proch z prochem.
Niczego bardziej nie pragnę,

niczego bardziej nie lękę,
muszę tylko trochę poczekać.

Gwiazda

Kto jest największym moim przyjacielem?

Ja sam.

Kto jest największym moim wrogiem?

Ja sam.

Wszystko, cokolwiek czyniłem,
obracało się przeciwko mnie,
aż nabrałem do siebie urazu,
a chcąc go zmniejszyć,
zapadłem w uraz jeszcze głębszy.

Uciekając od siebie,
zderzałem się ze sobą ustawicznie,
tak przebiegłszy wiele dróg i rozdroży
spozrzegłem,
że stoję w miejscu.

Wiązałem swe losy z drugimi —
wychodziło to im na złe,
dawałem życie —
teraz oskarżają mnie za to.

Na nocnym niebie
samotna gwiazda świeci.
Patrzę na nią i pytam:
ile poraziłaś swymi promieniami
innych gwiazd?
